

Wejdźcie w 2024 rok razem z BUcem!

Od 2020 roku rozpoczął się trend wzrostowy czytelnictwa wśród młodzieży. Z raportu Biblioteki Narodowej o stanie czytelnictwa książek w Polsce w 2022 wynika, że jeszcze w 2021 roku czytało 60 procent nastolatków, a rok później już 72 procent deklaroowało, że sięga po książki. Na pierwszy rzut oka ten wzrost zainteresowania to nic złego. Wręcz przeciwnie – to bardzo dobrze, że młodzi ludzie coraz częściej sięgają do literatury. W końcu czytanie poszerza horyzonty, wpływa na rozwój naszej wyobraźni, uczy wartości i polepsza nasz dobór słownictwa. Prawda? Jednak kiedy przyjrzeć się dokładniej temu, co teraz młodzież czyta i jakie pozycje zyskują największą popularność, to ten zachwytny znik.

Zaglądamy na półki w Empiku z bestsellerami i najlepszymi książkami wybranymi na podstawie wielkości sprzedaży, znaleźć tam można takie tytuły, jak: „Rodzina Monet”, „For Sure Not You”, „Start a Fire” lub „Know From Snow”. Co te wszystkie pozycje mają ze sobą wspólnego? Spieszę z wyjaśnieniami. W każdej z nich można z łatwością znaleźć toksyczne relacje, normalizowanie ich lub innych niewłaściwych zachowań oraz masę przekleństw. Dlaczego więc takie właśnie książki są u szczytu popularności?

Droga do sukcesu

Zacznijmy więc od początku, czyli jak te książki stały się tak rozchwytywane? W przypadku każdego z wcześniej wymienionych utworów ich geneza jest bardzo podobna. Mianowicie wszystkie przed wydaniem były dostępne na Wattpadzie – stronie służącej do publikowania za darmo swoich opowiadań. Pierwszą z nich, która zapoczątkowała ten „trend” wydawniczy, jest „Rodzina Monet” Weroniki Marczak. Było to w pewnym momencie najbardziej czytane opowiadanie na Wattpadzie. Po sukcesie, jakim było wydanie książki Marczak, reszta już poszła lawinowo.

Sama popularność na Wattpadzie i promocja ze strony wydawnictwa nie jest jednak w pełni wystarczająca. Potrzebne jest jeszcze coś, co pomoże tym książkom

Książkary w kryzysie



Często książki promują picie alkoholu, który niekiedy można uznać za jednego z bohaterów

dotrzeć do szerszej publiki. Tutaj z pomocą przychodzi TikTok. Wśród użytkowników tej aplikacji jest duże grono czytelników, którzy nazywają siebie „książkarami”. Opowiadają o książkach, które ostatnio przeczytali, które im się podobały lub nie. Myślę, że nie będzie kłamstwem powiedzieć, że dużą rolę w promocji książek odgrywają właśnie oni. Jeśli jakaś książka będzie im się podobać, to będą mówić o niej bez przerwy. W ten sposób odpowiadają za zazwyczaj nieoficjalną promocję.

Częstym zabiegiem jest także umieszczenie na TikToku przez autorów dźwięków, które zawierają cytaty z tych książek. Spójrzmy na kilka z nich:

„– Ja chce coś zjeść.

– I kolejna, nie wytrzymasz chociaż jednej podróży bez KFC? – zapytał, na co gwałtownie przeniosłam wzrok, a on sekundę później otworzył szerzej oczy – Znaczący McDonald's – nie płacz, nie płacz, nie płacz” – seria „Students” Aleksandry Negrońskiej

„– Musisz być naprawdę zalany. Jutro nie będziesz tego pamiętał.

– Być może, ale ty nadal będziesz ładna.

– Pijak.

– Z tego co widzę, nie jesteś lepsza i chyba zostaliśmy sami, reszta wybrała seks. Czemu ty jeszcze tego nie zrobiłaś?

– Nie jestem jeszcze na tyle pijana, a ty?

– Czekam

– Na co?

– Na to aż będziesz w końcu na tyle pijana” – seria „Hell” Katarzyna Barlińska

Co z nimi jest nie tak?

W każdej z wcześniej wymienionych publikacji (jest ich niestety więcej) znajdują się elementy, które są alarmujące. Pojawiają się niezdrowe relacje między ludźmi, jednak w książkach tych nie jest uświadomiane, że związki te są toksyczne. Zamiast tego pokazywane jako normalne są ciągłe kłótnie i wyzwiska między partnerami. W obronie przedstawia się argument, że jest to motyw „od wrogów do kochanków” (enemies to lovers), więc to przecież oczywiste, że bohaterowie obrzucają się błotem i wyzwiskami.

Prowadzi to płynnie do kolejnego punktu, jakim jest słownictwo wykorzystywane w tych książkach. Nie mam nic do przekleństw, sam ich używam i uważam, że dobrze użyte mogą być przydatne. Jednak postrzeganie to zmienia się, gdy książka jest wypchana po brzegi wulgarnymi, bohaterowie nie potrafią wypowiedzieć zdania bez ich użycia. Przez to tracą swoją podmiotowość, bo już nie ukazują silnych emocji bohatera tylko to, że ma on ograniczony zasób słownictwa. On albo autor.

Kolejną ważną kwestią, jaką trzeba poruszyć, jest normalizowanie zachowań i działań, które absolutnie nie powinny być uznawane za normalne. Przykładem jest „Rodzina Monet”, w której główna bohaterka cierpi na zaburzenia odżywiania. Problem ten jest bagatelizowany bądź kompletnie ignorowany przez pozostałych bohaterów. Problem z zaburzeniami odżywiania jest bardzo poważny i nie powinien być ani traktowany jako coś nor-

malnego, ani być spychany na dalszy plan. Inny równie poważny problem jest w książce „Know From Snow” Veli Szulwińskiej. Znajduje się tam opis sytuacji, w której główna bohaterka próbuje odebrać sobie życie. W tym celu bierze dużo leków, co wywołuje pojawienie się w jej głowie przyjemnych, kojących obrazów. Takie przedstawienie próby samobójczej może zachęcić kogoś do podjęcia takiej próby. Wystarczy jednak minimalny research aby dowiedzieć się, że opis nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, a skutkami przedawkowania leków mogą być bóle brzucha, nudności, wymioty, a nawet stałe uszkodzenia wątroby i śmierć. Z książką Veli jest wiele problemów, jednak ten uważam za przekroczenie pewnej granicy.

Wpływ na czytelnika

Opisywane tutaj pozycje nie byłyby tak problematyczne, gdyby ich głównymi odbiorcami nie były nastolatki, a nawet dzieci. Książki te mają zazwyczaj oznaczenie dla dorosłych. Dlaczego więc młodzi czytelnicy po nie sięgają? Bo oznaczenia umieszczone są z tyłu książek i do tego zapisane są małym drukiem. Nie pomagają również okładki, które często są mylące i niepoprawnie przedstawiają zawartość książki. Ostatnio głośna była afera ze specjalnym wydaniem książki „Birthday Girl” Penelope Douglas przez Wydawnictwo NieZwykle. Okładka jest cukierkowa i na pierwszy rzut oka wygląda jak książka dla dziesięciolatki. W rzeczywistości jest to historia erotyczna z oznaczeniem „18+”. Problem pogłębia fakt, że rodzice nie weryfikują, co czytają ich dzieci.

Popularyzowanie takich książek to rozpowszechnianie treści ze złym przekazem i normalizacja niewłaściwych zachowań i relacji. Tego rodzaju pozycje stanowią znaczącą część na obecnym rynku wydawniczym. Mam jednak nadzieję, że w niedalekiej przyszłości ulegnie to zmianie. Trzeba głośno mówić o tym, że książki te mogą mieć niekorzystny wpływ na młodych czytelników. Tomasz Różycki napisał kiedyś wiersz „Kryzys czytelnictwa polskiego”, który mówił o problemie z czytelnictwem w Polsce. Ten kryzys nie został zażegnany, a pojawił się kolejny, który zdaje się, jest gorszy od poprzedniego.

Mateusz KALMUK
matkal8@st.amu.eu.pl



Nowy rok, stary ład?
s. 3

Polecamy



Filmowy kalendarz 2024
s. 4



Nie taka planszówka
oczywista,
czyli o możliwościach
rozgrywki
s. 6-7



Jest źle, będzie jeszcze
gorzej
s. 8

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

Mam nadzieję, że nowy rok rozpoczęliście pełni energii i chęci do działania tak jak redaktorzy BUCa. Styczeń to trudny okres dla wszystkich studentów. Wielkimi krokami zbliża się sesja, ale już rozpoczął się okres intensywnej pracy, aby zaliczyć wszystko z jak najlepszym wynikiem (a w przypadku niektórych przedmiotów by po prostu zdać). Cała redakcja BUCa trzyma za was kciuki w tym czasie! Nie zapominajcie jednak, że nie samą nauką żyje człowiek. W ramach przerwy zapraszam do sięgnięcia po BUCa, w którym znajdziecie trochę podsumowań ubiegłego roku i zapowiedzi obecnego. Dowiedziecie się, co czyta młodzież i czemu wzrost zainteresowania książkami wcale nie powinien cieszyć. Czekam Was wizyta w Muzeum Czekolady i opowieść o pozytywnym działaniu tego przysmaku (endorfiny pomagają w nauce). Nie zabrakło też recenzji filmów i albumów, a na fanów sportu czeka coś z tenisowego i piłkarskiego podwórka. W przerwie od nauki warto też sięgnąć po planszówki – dla czego, tego dowiedziecie się od Agnieszki. Tym, co jednak nauki nigdy dość, polecamy Akademię Metodologiczną. Czym jest i jak się zgłosić – o tym w wywiadzie z Martyną Markowską, jedną z organizatorek wydarzenia. Pozostaje mi życzyć Wam przyjemnej lektury!



Redaktor naczelna
Izabela Tomaszewska

O co chodzi z Akademią Metodologiczną?

– wywiad z Martyną Markowską

Zapewne zdecydowanej większości studentów nauk społecznych „obiło o uszy” się hasło „Akademia Metodologiczna”. Z pewnością część z nich już zdążyła się na to wydarzenie zapisać, a pozostali kompletnie nie mają pojęcia, o co chodzi. O to czy warto wziąć udział w trzydniowej konferencji i zgłębić temat badań, zapytaliśmy Przewodniczącą Koła Naukowego Psychologii Polityki, jedną z organizatorek wydarzenia – Martynę Markowską.

Wyobraźmy sobie, że laik, na przykład student pierwszego roku, wchodzi na wydział, widzi na banerze napis „Akademia Metodologiczna” i zastanawia się „o co tu chodzi? Jaka metodologia?”. Mogłabyś wyjaśnić czym tak właściwie jest ta cała metodologia?

Metodologia to nauka o badaniach, o metodach badawczych, które są nam potrzebne do uzyskania jakiegoś wyniku, do pozyskania wiedzy na dany temat. Hasło „Akademia Metodologiczna” może faktycznie brzmieć czasami przerażająco i laik stwierdzi, że to na pewno nie jest dla niego, ale z całą pewnością to bardzo przyjazne wydarzenie. W poprzedniej edycji udział brała nawet uczennica szkoły podstawowej, która przyjechała ze swoją opiekunką doktorantką, więc młodsze pokolenie też zaczyna się interesować badaniami i jest to najlepszym dowodem, że nie jest to nic, czego powinniśmy się bać.

Do kogo to wydarzenie jest skierowane, czy są to tylko studenci, którzy przystępują do pisania pracy licencjackiej lub magisterskiej?

Głównym celem jest pokazanie ogólnej wartości metodologicznej badań. Nie jest ono skierowane typowo pod pracę licencjacką, magisterską, czy rozprawę doktorską, natomiast bardzo dużo programów czy warsztatów, które przeprowadzamy, organizujemy z myślą, by pomogły one przy pisaniu właśnie licencjatu czy magisterki. Zapraszamy wszystkich zarówno studentów jak i doktorantów. Mamy szerokie partnerstwo honorowe, przez co nasze wydarzenie jest rozreklamowane w różnych czasopiśmie naukowych, które są popularne w całej Polsce. Mamy w planach w tym roku wydać publikację pokonferencyjną.

Jaka jest historia Akademii Metodologicznej?

Historia wydarzenia sięga czterech lat wstecz, kiedy zaistniał pomysł. Problem jak zgłębiać wiedzę na dany temat za pomocą różnych badań, jest problemem ogólnopolskim. Pomysł stworzenia całej Akademii Me-



Zapisy na tegoroczną edycję Akademii Metodologicznej trwają do 1 lutego 2024 roku

todologicznej został zainicjowany przez studentów WNPiD, a teraz już doktorantów przy pomocy dr hab. Łukasza Scheffsa. Tak właśnie, wspólnymi siłami narodziła się myśl by zorganizować konferencję o zasięgu ogólnopolskim, na której zostanie utworzone pole do wyciągania szczegółów, które pomogą nam w naszych badaniach naukowych oraz do wymiany doświadczeń z ludźmi z całej Polski. Sukces spotkań w poprzednich latach spowodował, że trzeci rok z rzędu konferencja, odbywająca się w Gnieźnie, w tym roku odbędzie się w wymiarze trzech, a nie dwóch dni, jak dotychczas. Stwierdziliśmy, że w ciągu trzech dni można przeprowadzić jeszcze więcej ciekawych paneli, nie tylko w formach wykładowych, ale również w formie warsztatów, które poprowadzą osoby powiązane z WNPiD.

Jak poprzednie edycje wydarzenia odebrali jego uczestnicy?

Każda edycja przynosi nam też informację zwrotną. Wiele osób, które uczestniczyły w poprzednich dwóch edycjach, często piszą do nas „dajcie znać, kiedy będzie następna Akademia, chętnie przyjedziemy”. To jeden z powodów, dla których wydarzenie jest w tym roku organizowane już po raz trzeci. Mamy bardzo dużo wizytującym np. z Krakowa czy Warszawy, więc ta konferencja mocno „rozlała” się po Polsce i będziemy mieli naprawdę różnych gości.

Jest jeszcze dużo wolnych miejsc?

Mamy jeszcze wolne miejsca, obowiązuje konkurs abstraktów. Można wziąć udział czynny – tzn. dostarczyć nam swój projekt opisu projektu badawczego, który ma zostać przedstawiony na naszej Akademii i bierny – czyli wysłuchać prezentacji projektów i wziąć udział w warsztatach. Zapisy potrwają do 1 lutego 2023 roku.

Uważasz, że prowadzenie badań naukowych, zagadnienia metodologiczne mogą być rodzajem pasji?

Świat jest różnorodny, każdy z nas ma różne podejście do życia. Myślę, że na pew-

no znajdzie się osoba, którą może zainteresować ten dział. Badania, metody i próby badawcze same w sobie mogą być różne. Każdy może mieć swój sposób na przedstawienie i ich analizę, więc pod tym względem jest bardzo duża różnorodność. Trudno mi ocenić, czy to dla kogoś może być pasją, ale jest to interesujący temat, który można zgłębiać poprzez coraz więcej nowych możliwości. To zagadnienie cały czas mocno rozwija świat nauki, zwłaszcza skupiając się na naukach politycznych czy społecznych. Jesteśmy w stanie bardzo dużo zaobserwować na podstawie naszej zwykłej codzienności.

A gdybyś miała przekonać do udziału w Akademii osoby, które jeszcze wahają się, czy się zainteresować tematem, to jakich argumentów byś użyła, żeby ich przekonać?

Mamy bardzo różnorodny program. Jest już w całości opublikowany na stronie WNPiD oraz w naszym wydarzeniu na Facebooku. Myślę, że każdy znajdzie coś dla siebie, zwłaszcza jeśli zabiera się za napisanie jakiejś większej pracy, lub po prostu chciałby sam dla siebie zgłębić jakiś rodzaj badania. Warto też dodać, że osoby, które były na pierwszej czy drugiej Akademii, teraz jako doktoranci nauk społecznych i politycznych, już wchodzi w rolę prowadzących. Myślę, że głównym czynnikiem, który może zachęcić do udziału, to fakt, że jest to konferencja ogólnopolska, na którą zjeżdżają się ludzie z całego kraju i uważam, że jest to doskonała okazja do integracji. Sprawdzając listy osób zapisanych na wydarzenie możemy się uśmiechnąć, ponieważ można natknąć się na nazwiska, które są nam znane chociażby z zeszłego roku. Jest najlepszy dowód na to, że nasza konferencja jest odbierana pozytywnie. Jako że nie samą nauką człowiek żyje, w tym roku mamy również pewną niespodziankę dla uczestników. Nie mogę jej teraz zdradzić, więc wszystkim niezdecydowanym tym bardziej polecam się zapisać – myślę, że naprawdę warto.

Dominik JANICKI
domjan17@st.amu.edu.pl

Redaktor miesiąca



Amelia Ogrodowczyk

Hej, jestem Amelia, na WNPiD studiuje już drugi rok. Do BUCa dołączyłam aby rozwijać swoje umiejętności pisarskie, a moje teksty znajdziecie głównie w dziale kultura. Najczęściej można mnie spotkać z książką, w kinie albo w słuchawkach, interesuje się też bieżącymi wydarzeniami politycznymi.



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelna
Izabela Tomaszewska
**Zastępca redaktora
naczelnego**
Wiktor Kępiński
Sekretarz redakcji
Karolina Hałabiś
Numer makietał
Wiktor Kępiński
Wydawca numeru
Izabela Tomaszewska

Redakcja merytoryczna:
Karina Szymczak
Jakub Marciński
Dominik Janicki
Wiktor Kępiński
PR i Social Media
Karolina Hałabiś
Dominik Janicki
Karina Szymczak

Hanna Yankouskaya
Wiktor Konieczna
Korekta
Daria Bajorek
Paulina Cichoszewska
Wiktor Duda
Izabela Tomaszewska
Redakcja
Daria Bajorek
Natalia Borodkina

Bartosz Chałupka
Benita Dolniak
Karolina Gołaszewska
Weronika Grochalska
Karolina Hałabiś
Dominik Janicki
Dominika Jerzak
Bartosz Kabaciński
Mateusz Kalmuk

Wiktor Kępiński
Bartłomiej Kolano
Michał Kubisiak
Kamil Kwiatkowski
Agnieszka Łukaszewska
Magdalena Maciejewska
Bartosz Maluśki
Agata Mania
Jakub Marciński

Mateusz Markiewicz
Olga Michalska
Aleksandra Mierzwa
Amelia Ogrodowczyk
Michał Rzeźnik
Wiktor Sianko
Milena Spiralska
Vera Sudnik
Emilia Szkobodzińska

Karina Szymczak
Filip Szymkowiak
Emilia Świtalska
Izabela Tomaszewska
Anastasiya Trafimuk
Jędrzej Wróblewski
Michał Wybrański
Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Skład komputerowy
Tomasz Szukała
Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz
Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania
nadesłanych tekstów.

Nadejście kolejnego, nowego roku jest czasem rozważać nad tym, co przeminęło. Przemyślenia te warto jednak odbyć nie tylko na płaszczyźnie doświadczeń osobistych, ale także wydarzeń, które przez ostatnie 365 dni miały miejsce na arenie międzynarodowej.

Miniony rok należy uznać za przełomowy nie tyle dla naszego kraju, w którym to trwający prawie dekadę polityczny status quo dobiegł końca, co dla polityki całego globu. Co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy i o czym trzeba pamiętać wraz z nadejściem 2024 roku?

Krzyk niemej wojny

O eskalacji konfliktu między Palestyną a Izraelem pisaliśmy na łamach BUC-a już parokrotnie, jednak jego waga i istota są wciąż równie niebagatelne. Nie wiąże się on jedynie z ludobójstwami, śmiercią niezliczonych cywili, którzy tracą – niestety – dosłownie wszystko przez okrutną politykę władz państwowych. Protesty na całym świecie oraz sprzeciw obywateli nie wpływają na zaciętą walkę między siłami politycznymi, ale także religijnymi i etnicznymi.

Zaangażowanie innych państw w rozwijający się krwawy konflikt wpływa również na pozostałe rejony świata: wspieranie Izraela przez USA odbija się na finansowaniu wsparcia dla Ukrainy, która na odległym kontynencie toczy walkę o własną niezależność. Burzliwe debaty i spotkania ONZ-etu dotyczące rozwoju wojny oraz ingerencji w jej losy stanowią gorzki portret obecnego podziału sił politycznych czy też obecnych sojuszy, które – zależnie od poglądów, wierzeń i znajomości historii – są zupełnie odmiennie i skrajnie komentowane. Które stanowiska są słuszne i jak odnieść się do obustronnych strat, kiedy wciąż słyszy się o umierających tysiącach niewinnych obywateli, niezwiązanych z działaniami polityków i żołnierzy? Te pytania powinniśmy zadawać sobie, aby wciąż pamiętać o tym ogromnym dramacie, horrorze, który rozgrywa się tak daleko, a jednak świadomością i wiedzą tak blisko nas...

Mury i wojna

Znacznie bliżej nas dzieją się równie okropne wydarzenia o analogicznie wysokiej randze istotności – na naszej granicy wciąż umierają ludzie, przekonani o szansie uzyskania azylu w dystopijnej, bezwzględnej dla uchodźców Polsce, odzianej przez zagraniczną propagandę w maskę utopijności. Film Agnieszki Holland, zamiast wzruszyć i zachęcić do działania, zintensyfikował konflikt na naszym politycznym podwórku – Grupa Granica dalej niestrudzenie dąży do uzyskiwania wsparcia od obywateli w chronieniu szukających wsparcia i pomocy przed zimą w lesie i jej mrocznym, śmiertelnym obliczem.

Krakowska mara – Totenmesse

Olśniewające zakątki byłej stolicy Polski przyciągają co roku rzesze turystów. Pod Barbakanem, na Wawelu czy w przejściu między kramami Sukiennic usłyszeć można słowa zachwytu nad urokami miasta. Wśród tej malowniczej scenarii wyrósł potwór zrodzony z całego plugaństwa zalegającego w nieodwiedzanych zakamarkach.

W ciągu ostatnich kilku dekad o ciężkiej muzyce powiedziano i napisano już naprawdę dużo. Zbiór zebranych faktów jest na tyle obszerny, że można by pokusić się o stworzenie kilkutomowej encyklopedii. Udane próby streszczenia dziejów wybranych podgatunków podjęli chociażby Dayal Patterson czy Albert Mudrian. Truizmem wydaje się stwierdzenie, że prężnie rozwijające się od lat 90. XX wieku ekstremalne odmiany metalu zajmują szczególne miejsce w historii całego nurtu.

Początkowo najbrutalniejsze, najszybsze i najbardziej nieokrzesane granie opanowało całą Skandynawię. Odległa, mroźna, odludna północ stała się kolebką black i death metalu. Odrębnych, odmiennych, bezkompromisowych gatunków, które bardzo szybko przedarły się przez wodę i opanowały nie tylko Europę, ale także resztę świata spragnionego coraz bardziej ekstremalnych kompozycji.

Cudze chwalicie, swego nie znacie

Polska scena od początku charakteryzowała się niebywałą bujnością i zainteresowaniem ze strony fanów. Po dziś dzień kapele wykonujące te właśnie podgatunki metalu cieszą się znaczną popularnością nie tylko w kraju, ale także poza jego granicami. Zespoły tworzące polski black mają znaczną renomę i pozycję jako grupy znające się na swoim fachu. O miejsce w pantheonie trzeba nieustannie walczyć, rozpychać się łokciami na lewo i prawo, łapać oddech w chwilach wytchnienia, bez przerwy czatować – w takich okolicznościach na świat przychodzi Totenmesse.

Powstały w 2016 roku w Krakowie zespół przejawia tendencję do powolnego, ale zdrowego rozwoju. Zadebiutował rok po założeniu materiałem o nazwie „Demo 2017”. Po pierwszym wydaniu okra-

Nowy rok, stary ład?



Wielu z nas nie zdaje sobie sprawy z tego, o jak wielu kryzysach humanitarnych nie wiemy

O wojnie, która dzieje się tuż za naszą granicą, słyszy się więcej dopiero wtedy, gdy jej skutki i zagrożenia narażają bezpieczeństwo naszych terytoriów. Konflikt jednak staje się coraz bardziej niepokojący – zaledwie na przełomie minionego i nowego roku Putin zarządził intensyfikację konfliktu, co relacjonował 4 stycznia portal BBC News. Zdecydował wówczas, aby wycelować około 500 pocisków odrzutowych i dronów przeciwko Ukrainie w zaledwie pięć dni. Zmiana taktyki rosyjskiego wojska, dążącego do atakowania więcej więcej niż kilku miast jednocześnie, stanowi niepokojący kierunek rozwoju konfliktu, który z przerażeniem komentują politolodzy i inni specjaliści w dziedzinie.

Niema tragedia Sudanu

Konfliktem, który nie przyciągnął zbyt dużej uwagi, ze względu na inne dramaty aren międzynarodowej, jest tragiczna wojna domowa w Sudanie. Miniony rok miał stanowić okres rozkwitu demokracji w tymże państwie, jednak rozwój zdarzeń doprowadził do jego rozpadu. Od wiosny zeszłego roku toczą się tam działania zbrojne pomiędzy frakcjami dwóch części kraju: wschodu i zachodu. Kryzys społeczny intensyfikował się tam od lat. Zgodnie z danymi zamieszczonymi na oficjalnej stronie Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych od 15 kwietnia 2023 roku toczy się tam walka między regularną armią i paramilitarnymi Siłami Szybkiego Wsparcia.

Skutkiem walk są: kryzys humanitarny na ogromną skalę, migracje prerażonych cywili oraz zniszczenie infrastruktury. Ludność nie popiera działań wojskowych, jednak obie strony konfliktu nie zamierzają

przestać, dopóki nie wyeliminują przeciwnika. Obecnie około 25 milionów ludzi potrzebuje wsparcia humanitarnego z powodu szkód wywołanych przez walki. Sudańczycy, którzy są w stanie dotrzeć do międzynarodowych społeczności, wyrażają rozpacz i żal wobec ciszy oraz braku wsparcia ze strony innych państw. Mimo propagandowych zagrań przedstawicieli Sił Szybkiego Wsparcia nie ma żadnych oznak tego, aby wojna zbliżała się ku końcowi, jak relacjonuje The National Interest w artykule z ostatniego dnia minionego roku.

Promień słońca w świecie pełnym rozpacz?

Nie możemy jednak pozostawić czytelników w rozpacz i beznadziei, dlatego na zakończenie chcę przywołać wyjątkową listę sporządzoną przez redaktorów „The New York Times” – spis 20 wydarzeń, które na świecie rozegrały się po raz pierwszy w minionym roku. Wobec tematu artykułu należy wymienić kilka spośród nich. Pierwszym wydarzeniem wymienionym w tekście z 5 grudnia 2023 roku było oświetlenie londyńskiej dzielnicy West End w Ramadan, aby współuczestniczyć w tym święcie, co stanowi pierwszą tak ogromną i istotną inicjatywę ze strony miasta europejskiego.

Następnym ważnym wydarzeniem było przetłumaczenie brazylijskiej konstytucji po raz pierwszy na jeden z rodzimych języków ludów Amazonii – Nheengatu. W lipcu minionego roku odbyła się uroczysta ceremonia podpisywania dokumentu oraz jego uznania przez władze państwowe. Jest to szczególnie istotny krok w procesie dekolonizacji oraz zbliżania się niegdyś kolonizowanych państw do ich korzeni i tradycji. Również przełomowym zdarzeniem była decyzja Watykanu o pozwoleniu kobietom Kościoła na głosowanie w trakcie szesnastego synodu, co było pierwszym takim głosowaniem w historii wyznania.

Kolejnym kluczowym momentem było wyprzedzenie amerykańskiego dolara przez chińską walutę yuan – jego charakterystykę ciężko ocenić w kategorii pozytywnego lub negatywnego, ponieważ wskazuje ono jedynie na intensyfikację rywalizacji pomiędzy obecnymi mocarstwami aren międzynarodowej.

Rok 2023 można określić mianem przełomowego. Wydarzyło się wiele zarówno tragedii, jak i pozytywnych, potrzebnych zmian, które zapiszą się wielkimi literami na kartach historii. Warto wrócić do nich w rozważaniach nad minionym czasem oraz zastanowić się, jakie fundamenty przygotowały pod rozwój biegu wydarzeń w rozpoczynającym się roku.

Karolina GOŁASZEWSKA
kargol7@st.amu.edu.pl



Okladka albumu "Fiktionalust" wydanego jesienią ubiegłego roku

szonym inspirującym tytułem zaprezentował światu longplay „To”. Nie odstępując od enigmatycznego nazewnictwa, ujawnił się ponownie w listopadzie 2023 roku z albumem „Fiktionalust”.

Kunszt kreacji

Komponowanie, nagrywanie, miksowanie – mozolna praca, która po długich godzinach zostaje zakończona. Półmetek sukcesu, moment, w którym muzyk staje przed najtrudniejszym wyzwaniem. Musi wyrazić treść nagranych materiałów poprzez oprawę graficzną. Zaryzykować można stwierdzenie, że to cel stawiany sobie przez muzyków, od którego tylko opakowanie nośnika zaczęło mieć znaczenie. W końcu, na ich niekorzyść, to nie zawartość promuje produkt na półkach.

Nietuzinkowa decyzja brzemienna we właściwe skutki? Bo jak inaczej opisać wrażenie, które wywołuje pierwszy kontakt odbiorcy z

pracą Grzegorza Steca zatytułowaną „Karły i szczudlarze” zdobicią okładkę albumu? Widok bardzo niewygodny, oto bezkształtna, bezimienna masa. Najwnikliwszy obserwator musi mieć problem z tym, by stwierdzić, czy jest statyczna, czy też się porusza, trując poszczególne jednostki, niebędące przecież niezbędne do tego, żeby istniała. W centrum pna się ku górze delikatne linie stanowiące ostoję dla zwału ciała. Wybrańcy? Potępieńcy? Interpretacja społeczeństwa zbudowanego przez nas samych? A cała ta sceneria bez napisów, tytułów, grafik. Zupełnie tak, jakby miała być holdem dla dzieła, które powstało dla symbiozy z Totenmesse.

Autentyczność ponad miarę

Upakowanie emocji, refleksji, uczuć w słowa, takty i melodie to uzewnętrznianie wizji dorastającej i dojrzewającej w umyśle. We wszystkich kompozycjach czuć manifestację przeciwko zmęczeniu rutyną, porządkowi, który ogranicza człowieka i jego dążenia, losowi, z jakim ostatecznie musi się zmierzyć. Ten album to opowieść o tym, jak niewiele potrzeba, by wznieść się na wyżyny, i jaką cenę należy zapłacić, aby zostać wyniesionym.

Zespół postanowił porzucić awangardowe, egzotyczne poszukiwania na rzecz bezkompromisowego rozsadzenia zbieranych frustracji. Przez każdy dźwięk przebiega się nieustająca chęć osiągnięcia czystej, pierwotnej siły, która może zmiążdżyć wszystko, co stanie jej na drodze. W ciągu zaledwie trzydziestu siedmiu minut Totenmesse podejmuje walkę aż osiem razy. Nie tylko ze słuchaczem, ale głównie ze sobą. Zastanawiające, jak wyraźny jest ten album. Skupiony na wniesionym jądzie, niechęci do tego, co ludzkie, własnych ułomnościach.

Nieco ponad pół godziny to wystarczająco, by zarazić się zjadliwym wirusem wszczepionym przez ucho, ale nadal za mało, żeby osiągnąć pełne zaspokojenie. Szczerze i autentycznie to as w rękawie, pozostawiający wrażenie kompletnej wiary w przekazany bagaż emocjonalny. Największym zagrożeniem czyhającym na utrwalenie pozycji w kanonie polskich wydań jest „Huta Luna” formacji Furia, która ukazała się również nakładem wytwórni Pagan Records. Przyszłość małuje się w szczerzych dla krakowskiej ekipy barwach, czego należy jej życzyć.

Jędrzej WRÓBLEWSKI
jedwro1@st.amu.edu.pl

Wchodząc w 2024 rok, zastanawiamy się, co nowego nam on przyniesie. Czy będzie intensywny, pełen wyzwań i emocji, czy będzie nam się dłużył i z utęsknieniem przyjdzie nam oczekiwać kolejnego sylwestra? Na gruncie filmowych premier raczej się nie zawiedziemy, bowiem czeka nas wiele produkcji o ogromnym potencjale.

W minionym roku doczekaliśmy się filmów takich, jak: „Duchy Inisherin”, „Wieloryb”, „Tár” oraz nowych przygód Asteriksa i Obeliksa. Nie zabrakło kolejnych części produkcji Marvela – „Strażników Galaktyki 3” oraz „Ant-Mana”. W lipcu byliśmy świadkiem historycznego pojedynku, tak zwanego „Barbenheimera”, czyli premiery „Barbie” oraz „Oppenheimera”, a od września pojawiło się kilka ciekawych tytułów kina grozy i filmów historycznych. Poprzeczka została postawiona naprawdę wysoko, a producenci tegorocznych nowości muszą się postarać, aby oczarować widzów swoimi dziełami.

Produkcja na przełomie

Swoją premierę światową miał jeszcze w 2023 roku, w Polsce ukaże się 19 stycznia. Najnowsza produkcja Yorgosa Lánthimosy, reżysera „Faworyty”, zdobyła już kilka nagród, a przed nami jeszcze nominacje do Oscarów. „Biedne istoty” z Emmą Stone, Willemem Defoe i Markiem Ruffalo to historia, którą znamy już dzięki Grecie Gerwing – kobieta odkrywa prawdziwy, niezbyt jej przyjazny świat i uczy się, jak w nim żyć. Nie jest to jednak opowieść o lalce, która wydoszła się z magicznej krainy, tylko o bohaterce przywróconej do życia w wyniku eksperymentu, przechodzącej ponownie przez proces dorastania i zdejmającej się z okrucieństwem społeczeństwa. Po zobaczeniu zwiastuna można stwierdzić, że jest to po prostu przedziwnie nakręcony film, ale z pewnością nie należy go traktować powierzchownie i jeszcze przed sesją warto zapoznać się z tą produkcją.

Na naszym podwórku

Raczej nie spodziewaliśmy się powrotu tej kultowej polskiej komedii po prawie pięćdziesięciu latach. Każdemu znane są postaci Kargula i Pawlaka toczących wieczny spór o mur (a właściwie płot). „Sami swoi. Początek” w kinach dostępny będzie od 16 lutego i ma opowiadać historię wspomnianych już bohaterów z czasów sprzed przesiedlenia z Kresów na obecne terytorium Polski, a także wyjaśnić, skąd właściwie wzięła się rywalizacja między nimi. Z pewnością zaciekawi starsze pokolenie, które z czasów dzieciństwa pamięta premiery pierwszych części, a to młodsze skłoni do zapoznania się z produkcjami z lat siedemdziesiątych.

Powrót na Arrakis

„Diuna” powraca po ponad dwóch latach trzymania widzów w napięciu. Po raz kolejny za Frankiem Herbertem udajemy się do odległej przyszłości, aby obserwować walkę dwóch rodów o bezcenne złoża pla-

Filmowy kalendarz 2024

nety Arrakis. Ma to być kontynuacja rozpoczętej w 2021 roku historii opartej na pierwszej części sześcioksięgu Herberta, niezwykle popularnej serii science fiction z lat 60., która uważana jest już za kanon tego gatunku. Dowiemy się, co stało się z Paulem Atrydą po przyłączeniu się do Fremenów, jak rozwine się jego relacja z Chani oraz czy barbarzyński Ród Harkonnenów w końcu zostanie pokonany. Polska premiera filmu planowana jest na 1 marca.

Animacja skazana na sukces

Kiedy pojawiła się w 2015 roku, otrzymała Oscara za najlepszy długometrażowy film animowany, a zarobiła ponad 850 milionów dolarów. Produkcja „W głowie się nie mieści” powraca, aby pokazać nam, jak zmienia się młoda Riley pod wpływem nowych emocji i jak barwny, wspaniały świat ukryty w jej głowie sobie z tym poradzi. Czekają nas kolejne perypetie Smutku, Strachu, Gniewu, Odrzy i Radości. Ponadto bohaterka będzie musiała nauczyć się tolerować też nowe, nie do końca pozytywne emocje. Pozostaje mieć nadzieję, że Pixar sprosta oczekiwaniom widzów, a kontynuacja „Inside Out” okaże się takim samym sukcesem, jak było to w przypadku pierwszej części. Dowiemy się tego 14 czerwca.

Tolkien ciągle żywy

Od premiery ostatniej części filmowej trylogii opowiadającej losy kompanii Thorina Dębowej Tarczy mija 10 lat, a „Władca Pierścieni” to produkcja z początków tego stulecia. Już w 2021 roku New Line Cinema zapowiedziało film anime „The Lord of the Rings: The War of the Rohirrim” oparty na historii Helma Hammerhanda, od którego imienia nazwano Helmowy Jar pojawiający się w „Dwóch wieżach”. Wydarzenia te rozgrywały się na 180 lat przed wyprawą Bilba i mają w pewnym stopniu nawiązywać do narracji dzieł Petera Jacksona, jednak on sam nie został zaangażowany w produkcję. Głosu postaciom użyją między innymi Brian Cox oraz Miranda Otto. Ta druga wcieli się ponownie w rolę Éowyn, tym razem narratorki całej opowieści. Dla fanów Tolkiena będzie to z pewnością powrót w ciekawym stylu, ponieważ na ekranie tym razem zobaczymy animację, ale jest to odwołanie do tej części historii Śródziemia, której prawie nie znamy i ta grudniowa premiera może być początkiem nowej fali popularności pisarza.

Odpowiedź streamingu

W minionym roku mogliśmy zaobserwować trend szybkiego pojawiania się premier kinowych na platformach streamingowych – jak w przypadku „Avatarem” na HBO MAX. Netflix już zapowiedział kontynuację jednego ze swoich popularniejszych seriali – „Bridgertonów”. Jeszcze w styczniu pojawi się polski serial oparty na powieści Remigiusza Mroza „Forst”. Disney+ planuje nowego „Doctora Who” oraz udostępnianie kolejnych produkcji Marvela, a wspomniane już HBO



Plakat filmu „Poor Things”

MAX proponuje drugi sezon „Rodu Smoka” oraz „The Last of Us”, a także kolejne odcinki „Euforii”. Jaką strategię obrały więc najpopularniejsze w Polsce serwisy? Będą kupować się na kontynuacji najpopularniejszych seriali, a także wykupywać prawa do produkcji, których najbardziej domagają się widzowie.

Oprócz przeanalizowanych już tytułów, w kinach z pewnością nie zabraknie niezbyt ambitnych horrorów i thrillerów, pojawi się też więcej animacji dla najmłodszych, takich jak „Kung Fu Panda 4” i kilka filmów biograficznych, w tym co najmniej jeden polskiej produkcji. Daty wszystkich premier nie są jeszcze znane, a z upływem czasu zapewne do tej listy będzie można dodać więcej pozycji, ale już teraz zapowiada się obfity i różnorodny kalendarz filmowy na 2024 rok.

Amelia OGRODOWCZYK
ameogr@st.amu.edu.pl

Jeśli według rzymskiego poety Horacego człowiek przed śmiercią buduje sobie pomnik, to Walt Disney pozostawił po sobie ogromne dziedzictwo. Znacząca większość bajek, które mieliśmy w zwyczaju oglądać zarówno kiedyś, jak i dziś, wywodzi się z wytwórni pod nazwiskiem tego, kto w 1923 roku ją założył. I mimo że z rąk Disneya wychodzą coraz to nowsze, kolorowe i zachęcające do obejrzenia tytuły, starsi widzowie lubią powracać do klasyków, a także przekonywać do nich młodsze pokolenia.

Jak natomiast można przekonać młodych odbiorców do pierwszych disneyowskich bajek, jeśli w obecnych czasach kinematografii producenci sięgają po nowoczesność, przepychy oraz najróżniejsze bodźce, pozwalające dzieciom zachować uwagę? Na pomoc przyszła fala disneyowskich remake’ów, które – mimo że jakościowo najczęściej są wykonane bezbłędnie – do tej pory wzbudzają niemało kontrowersji.

Początki i skutki

Od jakiegoś czasu możemy zaobserwować powstawanie coraz większej liczby remake’ów różnych filmów. Dotyczy to również Disney’a. Pierwszy taki zabieg w wytwórni Walta Disneya

Nowa era klasyków Disneya

można było zaobserwować w 1994 roku, kiedy do kin zawitał remake „Księgi dżungli”. Krytycy filmowi chwalili osiągnięcia Disneya w dziedzinie efektów specjalnych, które pozwoliły na stworzenie bardziej realistycznych zwierząt i dżungli. Pozytywny odbiór filmu otworzył wytwórni drogę do następnych, stopniowo realizowanych projektów.

Na wielkim ekranie mogliśmy ujrzeć nowe wersje klasyków, takie jak: „101 dalmatyńczyków” (1996), „Alicja w Krainie Czarów” (2010), „Uczeń czarodzieja” (2010), „Czarownica” (2014), „Kopciuszek” (2015), kolejna odsłona „Księgi dżungli” (2016), „Piękna i Bestia” (2017), live action z uniwersum Kubusia Puchatka pod tytułem „Krzysiu, gdzie jesteś?” (2018), „Dumbo” (2019), „Aladyn” (2019), „Król Lew” (2019), „Zakochany kumdel” (2019), „Mulan” (2020), film przedstawiający historię głównej antagonistki dalmatyńczyków, „Cruella” (2021), opowieść o chłopcu z drewna, który chciał zostać prawdziwym człowiekiem, „Pinokio” (2022), „Piotrusz Pan i Wendy” (2023) oraz aktualnie najnowszy remake, „Mała syrenka” (2023).

Uwzględniając wydawane do niektórych z wymienionych filmów sequele, można śmiało stwierdzić, że trend unowocześniania klasyków ma się doskonale i przez długi czas nie zamierza usuwać się w cień. W końcu wytwórnia

Walta Disneya już zdążyła potwierdzić prace nad kolejnymi dobrze znanymi nam animacjami. Z niecierpliwością i obawą czekamy na remake słynnej „Królowej Śnieżki”, która zapoczątkowała trwającą do dziś legendę Walta Disneya. Był to pierwszy długometrażowy film rysunkowy Walta Disneya, który przyniósł wytwórni sławę. Po nowej „Królowej Śnieżce” do kin wejdą odświeżone, aktorskie wersje „Lilo i Stitcha”, „Bambiego”, „Herculesa” oraz „Moany”. Niewykluczone, że pewnego dnia otrzymamy pełną listę klasyków i ich nowocześniejszych zamienników.

Upamiętnienie czy chwyt marketingowy

Skoro Disney od dłuższego czasu wiernie realizuje misję tworzenia remake’ów swoich najpopularniejszych dzieł, należy zadać sobie istotne pytanie – co pragnie tym osiągnąć? Z pewnością to do swego rodzaju upamiętnienia oraz hołd dla pierwotnego klasika i jego historii, aktorów dubbingowych czy lojalnych fanów. Jednak czy nowa wersja filmu, który już cieszył się ogromnym sukcesem, jest jedynie krokiem ku twórcemu odnowieniu czy też łatwą drogą do zysków?

Spójrzmy przykładowo na „Króla Lwa” z 2019 roku – jego box office przekroczył sporo ponad miliard dolarów. Tak imponujący wynik

został osiągnięty dzięki różnym pokoleniom, popychany do kina albo przez nostalgię, albo zainteresowanie fascynującymi efektami wizualnymi. Część osób twierdzi, że Disney powinien skupić się na tworzeniu nowych, unikalnych historii, zamiast odtwarzać te, które już zdobyły serca milionów widzów. Pomimo tego i tak najprawdopodobniej obejrzą oni nową wersję, by wyrobić własną opinię czy też porównać remake do uwielbianego klasika. Takich porównań może być wiele – przede wszystkim wtedy, gdy pojawia się jeden istotny problem.

Poprawność polityczna

Czas nie stoi w miejscu. Żyjemy w coraz to bardziej otwartym i zróżnicowanym pogłądowo społeczeństwie, do którego przekonani i idee wytwórnia Walta Disneya postanowiła wtrącić swoje trzy grosze. Unowocześnienie bajkowych klasyków przestało skupiać się wyłącznie na efektach wizualnych, a wykorzystano swoją popularność do nadania bohaterom nowych atrybutów – począwszy od wyglądu zewnętrznego, charakterystycznych cech i zachowania, aż po zupełnie nowe, głębsze przesłanie.

W filmie „Czarownica” (remake „Śpiącej królowej”) z 2014 roku główną bohaterką nie jest Aurora, ale jej największy wróg, Diabolina. W klasykach Disneya najczęściej mogliśmy śledzić historię protagonisty, przechodzącego przez istotną przemianę w czasie wędrówki po świecie czy niesamowitej przygody. W tym

Czekoladowy zawrót głowy

Przeciętny mieszkaniec świata w każdym roku spożywa średnio kilka kilogramów czekolady. Przebyła ona długą drogą, aby dotrzeć do naszego kraju. Warto przyjrzeć się dokładniej temu słodkiemu przysmakowi, który wszyscy znają i z chęcią podjadają.

Czekolada to jeden z ulubionych słodkich przysmaków. Oprócz tego, że jest pyszna, ma liczne zdrowotne właściwości. Natomiast za tą małą kosteczką kryje się bardzo ciekawa historia, którą warto poznać. Czekolada nie przestaje tracić na popularności, a wręcz z każdym rokiem zyskuje szersze grono miłośników. Nie ma się co dziwić, że w Poznaniu powstało muzeum poświęcone właśnie tej słodyczy.

Dawne czekoladowe dzieje

Czekoladę znano już za czasów Majów i Azteków. Była spożywana wtedy jako gorzki napój. Owoce kakaowca poddawano fermentacji, następnie mielono i prażono. Niekiedy dodawano do niego miód i przyprawy. Był to produkt bardzo drogi i mało dostępny, dlatego pili go głównie królowie czy arystokraci. Do Europy czekolada przyjechała dzięki odkryciu Ameryki przez Krzysztofa Kolumba. Na początku nie zyskała dużej popularności przez jej gorzki smak, a także trudny dostęp. Dopiero gdy zaczęto dodawać do niej cukier, a następnie tłuszcz, stała się prawdziwym przysmakiem.

Czekolada w formie stałej, jako pralinki, pojawiła się we Francji podczas rządów Ludwika XIV. Najpierw produkty były bardzo tłuste i nieprzyjemne w smaku, dopiero duński chemik stworzył wersję bardziej sypką i odtłuszczoną. Ostatnim etapem było stworzenie czekoladowej tabliczki. Za twórcę czekolady mlecznej uznaje się Henriego Nestlé. I tak czekolada w coraz to nowych smakach i kształtach jest jedzona po dziś dzień.

Liczy się umiar

Dzięki dużej dostępności i różnorodności czekolada stała się szybką i łatwą przekąską. Niektórzy mówią o niej, że działa jak narkotyk. Spora ilość cukrów powoduje, że chcemy jeść jej więcej i więcej. Rzadko komu udaje się zjeść tylko jedną kostkę czy pralinkę. Zwykle kończy się na zjedzeniu całej tabliczki lub opakowania.

Czekolada powstaje z ziaren kakaowca. Im większa ich zawartość, tym jest zdrowsza. Dlatego nawet lekarze często zalecają spożywanie kilku kawałków czekolady gorzkiej. Ma ona bowiem działanie sprzyjające uczeniu się i koncentracji. Jednak nie tylko czekolada gorzka ma dobry wpływ na nasz organizm. Każdy wyrób czekoladowy stymuluje nasz organizm do wydzielania endorfin, czyli hormonów szczęścia. Rozszerza też naczynia krwionośne, zapobiega zawałowi serca czy miażdżycy. Można by więc rzec, że czekolada jest lekiem idealnym. Trzeba natomiast pamiętać, że we wszystkim musimy znać umiar. Jed-



Chwila wytchnienia przy czekoladzie

na kostka czekolady lub dwie wystarczą, ponieważ w stu gramach czekolady znajdziemy około pięciuset kalorii.

Muzeum Czekolady

To, że czekolada jest popularna na całym świecie, wiedzą wszyscy. Każdy spróbował jej przynajmniej raz. Czekolada ma swoich fanów, ale też przeciwników. Jednak dla tych, którzy czekoladę uwielbiają i chcą dowiedzieć się o niej więcej, a także spróbować niecodziennych smaków i kształtów, powstało Muzeum Czekolady w Poznaniu.

Niewielkie z pozoru miejsce, ukryte wśród pubów i restauracji przy ulicy Wrocławskiej 12, kryje wspaniałą przygodę. Część osób wchodzi tylko do części sklepowej – i to duży błąd. Oczywiście w sklepie możemy kupić czekoladę o różnych smakach, wzorach i kolorach. Natomiast warto udać się w głąb tego budynku, to tam znajdziemy Muzeum Czekolady, gdzie będziemy mogli stworzyć swoją własną niepowtarzalną czekoladę. Jest to idealne miejsce, aby wybrać się ze znajomymi czy rodziną. Podczas wizyty można zobaczyć na własne oczy, jak powstaje czekolada, a także czekoladowe pralinki, spróbować ziaren kakaowca, a przede wszystkim poznać historię i dawne dzieje czekolady. To jednak nie wszystko, po części teoretycznej przechodzimy na warsztaty. Właśnie tu ubieramy strój kucharza i tworzymy własną tabliczkę czekolady wraz z dodatkami. Oczywiście zabieramy ją ze sobą do domu. Sami przyznacie, że to wspaniała przygoda i pamiątka.

Właścicielka o tym magicznym miejscu

Justyna Szulc, właścicielka Muzeum Czekolady w Poznaniu opowiedziała trochę więcej o tym miejscu i oferowanych produktach.

Skąd pomysł na takie muzeum?

Po prostu uwielbiam czekoladę i wraz z mężem chcieliśmy dzielić się naszą pasją. Kiedy zaczęliśmy tworzyć nasze muzeum, nigdy nie myśleliśmy, że zyska ono taką popularność. Dzisiaj na warsztaty trzeba czekać kilka dni. Staramy się tworzyć nowe produkty, czekolady na każdą okazję.

Jakie najciekawsze lub najbardziej oryginalne czekolady znajdziemy u państwa w ofercie?

Z takich najdziwniejszych to myślę, że pralinki czekoladowe z musztardą. A z takich bardziej popularnych to pistacjowe, z pieprzem, papryczką chili czy solą morską. Mamy też ziarna kakaowca, które działają pobudzająco jak kawa. A także zestawy do robienia własnych czekolad płynnych i stałych. Oczywiście nasze czekolady mają najróżniejsze kształty, są telefony komórkowe, puchary czy samochodziki.

To rzeczywiście bardzo bogata i zróżnicowana oferta. Ale oprócz doskonałych czekolad mają państwo też warsztaty, czy mogłabym usłyszeć o nich kilka słów?

Oczywiście, na warsztaty zapraszamy zarówno dzieci, jak i dorosłych. Będzie możliwość poznania historii czekolady, a także stworzenia niepowtarzalnej tabliczki. Ostatnio otworzyliśmy się również na firmy, oprócz warsztatów proponujemy słodycze z logo danej instytucji. Jest to idealny prezent dla klientów. Dodatkowo oferujemy warsztaty świąteczne, walentynkowe czy wielkanocne. Organizujemy urodzinki i spotkania firmowe.

Czekolada niewątpliwie podbiła świat i serca mnóstwa ludzi. Oprócz pysznego smaku ma też działania zdrowotne. Tylko trzeba pamiętać, aby połączyć ją ze zróżnicowaną dietą i nie być łakomczuszką. Tym, którzy mają ochotę na czekoladę cały czas, Muzeum Czekolady na pewno przypadnie do gustu. A na koniec życzyć Czytelnikom wszystkiego czekoladowego!

Milena SPIRALSKA
milkspi@st.amu.edu.pl

przypadku, w kontekście poprawności politycznej, „Czarownica” przedstawia innowacyjne spojrzenie na tradycyjną historię. Diabolina została ukazana jako postać bardziej złożona. Wprowadza również elementy odwrócenia ról, co prowadzi do analizy i reinterpretacji charakterów, a co za tym idzie – antagonistów. W remake’ach zaczynają być prezentowani nie jako okrutni wrogowie bez tła i słowa wyjaśnienia dla ich czynów, ale prawdziwe osoby z traumatyczną, niegdyś niezrozumiałą przeszłością.

Każdy nadmiar szkodzi

Kolejnym istotnym punktem dla poprawności politycznej w remake’ach Disneya jest wszechstronny feminizm. Tutaj zaczynają się schody, ponieważ z jednej strony to zjawisko pozytywne i ukazujące kobiety w silnych, godnych naśladowania rolach, jednak z drugiej – zaczęło ono przyćmiewać oryginalne historie oraz nakładać presję dotyczącą definicji samego feminizmu.

W remake’u „Aladyna” z 2019 roku postać księżniczki Jasmine otrzymała bardziej rozwinięty wątek skupiony wokół ambicji tej postaci. Można to interpretować jako próbę dostosowania się do współczesnych postaw dotyczących równości płci. „Mulan” przedstawia natomiast tytułową bohaterkę w poważniejszym wątku pozbawionym miłosnego wydźwięku. Widzimy skupioną na celu wojowniczkę. Te tytuły kontrastują z innym przykładem

dopiero co zapowiedzianego filmu, wokół którego już zdążyły powstać liczne kontrowersje.

Unowocześniona wersja „Królowej Śnieżki”, według obsadzonych w niej aktorów, ma ociekać feminizmem. Pierwsza księżniczka Disneya, znana z zatrutego jabłka, siedmiu krasnoludków oraz odnalezienia przez księcia z bajki... tym razem wcale nie zostanie przez niego odnaleziona – film ma przedstawiać silną i niezależną Śnieżkę, która samodzielnie pozbędzie się kłątwy. Dodając do tego fakt, że zamiast na siedmiu krasnoludków produkcja wstępnie postawiła na siedem magicznych stworzeń o różnych korzeniach i pochodzeniu, wielu fanów klasycznego Disneya uznało, że granica dobrego smaku oraz mieszania w oryginalne została poważnie przekroczona.

A czy o tej granicy możemy mówić także w przypadku zmian w charakterystycznych cechach aparycji bohaterów? Remake „Małej syrenki” z 2023 roku oraz lawina negatywnych komentarzy na temat czarnoskórej Arielki udowadniają, że możemy, jednakże to, czy decyzja o zmianie koloru skóry protagonisty jest zabiegiem dobrym, złym bądź neutralnym, powinno zostać poddane indywidualnej ocenie. Z pewnością to coś rewolucyjnego i wzbudzającego emocje – przede wszystkim wtedy, gdy padają coraz częstsze oskarżenia o odwrócony rasizm.

Stosunkowo niedawno, czyli 16 października 2023 roku, świętowaliśmy setną rocznicę powstania wytwórni Walta Disneya. Z tej okazji do kin weszła nowa bajka pod tytułem „Zycze-

nie”, której grafika ma łączyć nowoczesność z sentymentem. Zmieszane techniki animacji 2D z grafiką komputerową 3D przedstawiają się naprawdę intrygująco i jednocześnie tworzą pole do kolejnych pytań. Czy zamiast masowo wydawać remake’i znanych nam bajek, nie lepiej tworzyć nowe, ze zróżnicowanymi postaciami oraz oryginalnymi historiami? Czy przeważająca liczba nowych wersji klasyków nad

świeżymi tytułami oznacza, że Disney się najzwyczajniej wypalił? Na te pytania nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Dla jednego nowe wersje klasyków będą niepotrzebne, a nawet i obraźliwe dla swojego prototypu, ale dla drugiego remake pozostanie nieszkodliwą rozrywką.

Aleksandra MIERZWA
alemie13@st.amu.edu.pl



Remake klasyków króluje na kinematograficznym podium

Imperium ponownie kontratakuję?

Mogłoby się wydawać, że science fiction jest gatunkiem, który został doszczętnie wyeksplorowany przez branżę filmową i nie ma nam już nic nowego do zaoferowania. W końcu ileż może powstać „nowych” filmów przy wykorzystaniu sztandarowych zabiegów fabularnych tego gatunku – przewidywalnego schematu walki dobra ze złem, futurystycznych statków kosmicznych, humanoidalnych bohaterów oraz antagonisty z imperialistycznymi zapędami. Okazuje się, że jest w tym przypuszczeniu ziarno prawdy, jednak mając odrobinę kreatywności oraz odwagi do eksperymentowania ze znanymi już widzom światami, można stworzyć całkiem nowy, choć jednak stary hit kinowy. No i oczywiście trzeba nazywać się Zack Snyder.

Snyder sprezentował nam pod choinkę „Rebel Moon”, którego pierwsza część trafiła na Netflixa 22 grudnia 2023 roku. Jeszcze przed premierą pojawiło się sporo bardzo negatywnych ocen krytyków filmowych. Niewątpliwym faktem jest, że „Dziecko ognia” nie jest twórczością, która zaskarbi sobie serca wszystkich odbiorców tego gatunku. Jak zazwyczaj bywa z tego typu filmami, publiczność została podzielona. Znajdzie się zarówno część widzów, która stwierdzi, że jest to marna imitacja „Gwiezdnego Wojen”, jak i część, która będzie zachwycona technieniem nowego życia w znane realia kosmiczne. Jednak okazuje się, że jest to również film, który może zaprosić do zgłębienia nieznanego dotąd świata fantastyki całkowicie nowych odbiorców.

Galaktyczni nowicjusze

Muszę przyznać, że zdecydowanie nie należałem do grona osób odliczających dni do premiery kolejnej części „Gwiezdnego Wojen”. Abstrakcja fabuły nie pozwalała mi się bardziej zaangażować emocjonalnie w takie uniwersum. Dlatego gdy padła propozycja rodzinnego oglądania „Rebel Moon. Część I: Dziecko ognia”, mój sceptycyzm osiągnął swój punkt krytyczny.

Początkowo postanowiłem zignorować film lecący w tle. Jednak bardzo szybko się okazało, że to właśnie ja będę tym najbardziej aktywnym widzem podczas seansu, który tłumaczy pozostałym domownikom powiązania kolejnych, wprowadza-

nych do powieści bohaterów oraz motywacje ich działań. Tylko jedno uniwersum fantastyczne wzbudziło we mnie takie emocje i radość z odkrywania kolejnych wątków i był to „Harry Potter”. Oczywiście nie śmiem profanować Hogwartu i zestawiać go z macierzą Balisariuszy, ponieważ jest to absolutnie inny poziom. Chcę tylko w tym miejscu zaznaczyć, że „Rebel Moon” zapewniło mi emocje, których nie potrafiła dać mi saga Skywalkerów, która była główną inspiracją Snydera. Było to dla mnie na tyle intrygujące spotkanie ze światem science fiction, że postanowiłem powrócić do „Gwiezdnego Wojen” i dać im drugą szansę. Jest to istotny znak, że jednak warto zaważać również o potencjalnego odbiorcę, który dotychczas nie był związany z konkretnym gatunkiem.

Fabularny misz-masz

Zapewne niektórzy stwierdzą, że jest to z mojej strony ogromna nadinterpretacja i nieadekwatne porównania, jednak mimo to pozwolę sobie na przedstawienie pierwszych skojarzeń, które przysły mi do głowy na poszczególnych etapach fabuły. Protagonistka, w której rolę wcieliła się Sofia Boutella, jest w moich oczach odzwierciedleniem Lary Croft. Pomijając aparycję aktorki, która definitywnie pogłębia tę perspektywę, bez cienia wątpliwości mogę stwierdzić, że te dwie fikcyjne postaci mają ze sobą wiele wspólnego. Obie porzuciły swoje dotychczasowe życie po doświadczeniu obciążających psychicznie, traumatycznych wydarzeń, które zmieniły ich sposób patrzenia na świat. Postanowiły przyczynić się do zmiany świata w lepsze miejsce, nadając się do życia dla wszystkich, w duchowym spokoju. Charakteryzuje je buntownicza natura i uparte dążenie do celu, którego osiągnięcie wydaje się być ponad ich siły.

Dostrzegłem również analogie pomiędzy Jimmym oraz C-3PO z „Gwiezdnego Wojen”. To humanoidalne roboty, pełne empatii i zrozumienia wobec dobrych ludzi. Potrafią odróżnić dobro od zła i stają zawsze po stronie prawdziwości i uczciwości. Sprzeciwiają się barbarzyńskim aktom, których dopuszczają się wrogowie i są w stanie sprzeciwić się „przełożonym”, kiedy ci zapędzają się w swoich poczynaniach. Jimmy, pomimo programowania przez Balisariuszy, nie poddaje się ich manipulacjom i nie pozwala na sprawianie bólu niewinnym obywatelom Veldt, co czyni go bardziej ludzkim niż niejednego człowieczego bohatera, który występuje w „Rebel Moon”.

Oczywistym skojarzeniem z samymi Balisariuszami jest pewna historyczna ideologia, która cechowała się imperialistycznymi zapędami i wykluczeniem społecznym, przyczyniając się

do śmierci milionów ludzi. Atticus Noble, grany przez Eda Skreina, swoją bezwzględnością, wrogością do części społeczeństwa i wizualną kreacją, jest według mnie inspirowany pewnym austriackim akwarelistą, który malował Europę krwią niewinnych dusz. Sam mundur Balisariuszy, choć niejednoznacznie, budzi skojarzenia z III Rzeszą. Gdy ujrzałem Atticusa podczas przyjazdu do Veldt, od razu mój umysł zestawiał go z nazistowskim światem. Myślę, że po chwili zastanowienia, wiele osób może utożsamiać swoje doznania podczas oglądania filmu z moimi spostrzeżeniami. Jednak najbardziej irracjonalne w tym wszystkim jest to, że uniwersum Tomb Rider, sagę Skywalkerów oraz nazizm zestawiono w jednym filmie.

Prostota wadą i zaletą

Fabuła „Rebel Moon” jest bardzo barwna i obfita w szczegółowe opisy wydarzeń. Można mieć wręcz złudne wrażenie, że historie bohaterów są bardzo zawiłe, a pojedyncze fakty z ich życia są przed nami ukrywane i pozostawione do naszej interpretacji. Natomiast prawda jest taka, że pomimo swojej szczegółowości opowieść galaktyczna jest tak naprawdę bardzo prosta, a wszelkie istotne informacje są nam wręcz podane na tacy. Snyder nie pozostawił nam pola do przemyśleń i interpretacji zdarzeń. Wszystkie wątki, choć czasem nie podane wprost, mają prostą do wychwycenia istotę. Nie ma tu nic, co mogłoby nas zaskoczyć. Sprawia to, że całość filmu jest bardzo przewidywalna, jednak nadal wciągająca. Różnorodność historii sprawia, że nadchodzi taki moment, podczas którego mamy żywą projekcję kolejnych życiorysów. Niestety przybiera ona bardziej formę wyliczanki aniżeli powieści biograficznych. Działają na niekorzyść serii, ponieważ można było bardziej je rozbudować i stworzyć z „Dziecka ognia” dwie odrębne części, zamiast pobieżnie przebrnąć przez lata retrospekcji w kilkadziesiąt minut.

Wątek miłosny towarzyszący bohaterom buntu również ma dwie strony medalu. Z jednej strony jest to piękne, a zarazem ludzkie oblicze wojny. Pokazuje, jak wiele jesteśmy w stanie zaryzykować i poświęcić w imię prawdziwej miłości. Wolność osoby partnerskiej oraz ważnych dla niej osób staje się nadrzędnym czynnikiem determinującym podejmowane przez nas działania. Z drugiej zaś strony większość produkcji z wątkiem konfliktu zbrojnego w tle zawiera romantyczną historię dwóch osób, która często swoje korzenie wykształciła jeszcze na długo przed wojną. Jest to bardzo przewidywalna część fabuły i choć w pierwszej części „Rebel Moon” nie dowiadujemy się, jaki będzie ostateczny wynik stoczonej batalii, to wiemy, jak potoczy się ta miłosna historia – otóż potoczy się ona tak, jak zawsze.

Nie taka planszówka oczywista

Gry planszowe – słysząc te słowa, od razu pojawiają się nam przed oczyma wielobarwne pionki, kolorowe plansze i pokręcone zasady, których właściwie większość z nas się nie przestrzega. Przywołujemy na myśl chwile spędzone z najbliższymi. Ale czy planszówki mogą być też źródłem konkursowych zmagień? Czy to, co miłe i przyjemne, można połączyć z walką o wygraną i to nie tylko w domowym zaciszu?

Niemal każde spotkanie towarzyskie nie może obyć się bez udziału gier planszowych. Sprawiają one, że wspólnie spędzony czas mija lepiej, integrują uczestników i rozwijają wyobraźnię. Jednakże kończą się na tym, że ktoś wygrywa (uczciwie lub nie), a ktoś musi obejść się smakiem wygranej. Większość o tym zapomina, bo to tylko koleżeńska rozgrywka. Jednak gry planszowe mogą wyjść poza ten poziom – i umożliwiają to różnorodne konkursy, podczas których można sprawdzić swoją wiedzę i umiejętności.

Intrygujący potencjał gry

Gry planszowe oferują niesamowite możliwości. Wystarczy wyobrazić sobie, tak czysto hipotetycznie, taką sytuację: zapraszasz do rozgrywki swoich ulubionych przyjaciół, a po zakończonej grze już ich nie masz. Tak, z przymrużeniem oka oczywiście, można mówić o znanej grze „chińczyk”. Polega ona na tym, że gracz wybiera kolor pionka i ustawia go na planszy. Następnie jego zadaniem jest przejść ją całą i dotrzeć do mety. Przeszkodą są inni gracze – którzy mogą zbijać, a więc strącać pionki z planszy, powodując, że wracają one na start. I tu właśnie rodzą się największe sprzeczki.

Jak wiadomo – każdemu z nas zależy na tym, żeby wygrać. A gdy Twój przyjaciel, Twoja ulubiona osoba, pozbawia Cię szybkiej szansy na to, w sercu rodzi się przedziwna chęć odwetu. I tak oto zaczyna się prawdziwa zabawa. Trzeba przyznać, że chińczyk nie tra-

ci na popularności – wszystko to za sprawą tego, iż jest dostępny i w wersji klasycznej planszowej, i w wersji online za sprawą jednych z popularnych mediów społecznościowych.

Z zasadami czy bez zasad?

Na popularności nie tracą także gra Monopoly oraz jej odmiany (jak Wielki Biznes). Wszystkie te gry mają na celu kupowanie odpowiednich posiadłości i zarządzanie nimi tak, by przynosiły jak największy zysk. W ten sposób można nauczyć się odpowiedniego korzystania z zasobów finansowych czy po prostu przebiegłości. Bo – nie ukrywajmy – ta gra wymaga czasem po prostu odrobiny szczęścia. Nieodpowiedni rzut kostką i już możemy pogrzebać marzenia o nabyciu najlepszej i przynoszącej największe korzyści inwestycji.

Jednak nie zawsze grający trzymają się sztywno zasad, a w tej grze już tym bardziej. Pieniądże rozdaje się ze słowami: „coś tak mi się wydaje, że powinno się otrzymywać tyle”. Domki czy hotele kupuje się w różnej kolejności i wszystko zależy od tego, jak ustalą gracze. Kto rzuca kostką? Kto wygrywa? Czy będąc bankrutem można jeszcze się jakoś uratować? To zależy – ale bynajmniej nie od instrukcji. To gracze tworzą zasady, choć tu także nie może obyć się bez konkurowania ze znajomymi czy rodziną. Co oczywiste, wygrana jest celem. Każdy, kto nam w tym przeszkadza, staje się prze-

ciwnikiem. Ileż to razy bolał nas widok osoby kupującej nasze upatrzone pole? Ileż to razy czuliśmy ukłucie w sercu, oddając ostatnie pieniądze komuś, kto był już na tyle bogaty, że poradziłby sobie zupełnie bez nich? Pewne wydarzenia zapadają w pamięć na długo, że nawet dziesięć minut po zakończeniu gry moglibyśmy być jeszcze obrażeni po takim scenariuszu. Chociaż jest także wiele zabawnych wydarzeń.

Od razu mogę wspomnieć tutaj o ogromnie ciekawej sytuacji, którą przedstawiła mi moja późniejsza rozmówczyni: „U mnie w rodzinie gry planszowe traktuje się bardzo poważnie. Może nie gramy o pieniądze, ale o niewielkie przysługi. Jednego razu mój wujek, który wygrał, zażyczył sobie robienie masażu przez każdego uczestnika gry. Zabawne było to, że grało w sumie dziewięć osób, więc przez dobre kilka godzin miał darmowy masaż od rodziny” – powiedziała Zosia.

Możliwość prawdziwej rywalizacji

Odkładając na bok rodzinne i przyjacielskie potyczki, gry planszowe mogą wynieść nas na jeszcze wyższy poziom. Dobrze szukając, odnaleźć można różnorodne konkursy, w których sprawdzić można swoją wiedzę. Bardzo dobrym przykładem jest Olimpiada Gier Planszowych IPN. Impreza skierowana jest m. in. do uczniów i studentów. Zaczyna się od regionalnych rozgrywek w różnych miastach (także w Poznaniu). Polega na grze w jedną z wybranych przez siebie wydanych przez IPN planszówek. Wielki finał odbywa się w Warszawie na Stadionie Narodowym. Udział w takich rozgrywkach pozwala na poznanie nowych ludzi, poszerzenie umiejętności i wszechstronny rozwój. Łączy w sobie rywalizację i ważną historyczną tematykę. Możliwość walki z innymi jest dodatkowo



Nieprzerwana gra na emocjach

Wybitne technicznie zdjęcia, ciekawy i nostalgiczny soundtrack, artystyczna dusza reżyserki, gra aktorska na wysokim poziomie oraz scenariusz, który bawił się uczuciami oglądających, a czasem nawet wybił ich z rytmu. Czy to jednak wystarczyło do stworzenia kinowego arcydzieła?

Akcja „Saltburn” rozkręca się w sposób mało dynamiczny, wprost nieciekawo dla widza, a reżyserka prezentuje stereotypowy i szablonowy zarys postaci. Podczas roku akademickiego w Oxfordzie bogaty, przystojny i popularny Felix, pochodzący z arystokratycznej rodziny, zaprzyjaźnia się z kuzynem, bez przyjaciół, z przygnębiającą i łzawą historyjką. Po obejrzeniu, a wręcz przemęczeniu, tej nudnej, znanej każdemu koncepcji następuje przełom. Główna postać w końcu nabiera charakteru i zaczyna być choć trochę ciekawa, momentami nawet intrygująca. Emerald Fennell postanowiła wykorzystać interesujący zabieg i zagrać z przyzwyczajeniami widzów, co zdecydowanie wyszło jej na plus.



Plakat filmu

Huśtawka emocjonalna

Produkcja sugeruje widzowi co rusz coś innego. Na ekranie przedstawiona zostaje określona wizja, do której oglądający zaczyna się przyzwyczajać bądź nawet jej kibicować, a po chwili następuje zmiana pomysłu, celowa zmyłka, co wprawia w pewne zdezorientowanie i zaskoczenie. W pewnym momencie można odnieść wrażenie, że dla reżyserki ważniejsze jest ciągle szarpanie emocjami widzów niż stworzenie sensownej i spójnej koncepcji filmu, tak zwanego kręgosłupa, co jednak utrudnia odbiór.

W filmie prezentowane są ekscentryczne sceny z podtekstem erotycznym, które szokują, wprawiają w dyskomfort, obrzydzenie i wywołują swego rodzaju niezrozumienie. Wywoływane jest to wskutek niewystarczającego poznania postaci pojawiających się w tytułowym Saltburn, a dokładniej ich prag-

nień czy lęków. Należy uznać, że jest to bardziej zaniedbanie produkcji niż celowy zabieg, co wręcz odbiera dobry smak filmowi, gdyż te sceny wydają się mocno wyrwane z kontekstu i potrzeba głębszej analizy, aby nadać im sens dla własnej wygody i komfortu oglądania.

Mniej znaczy więcej

Największą wadą tego filmu okazał się przesyt wszystkiego, co tylko możliwe. Reżyserka bombarduje nas od początku skrajną klasyfikacją swojego dzieła. Trochę to komedia z dodatkiem tragedii, która ostatecznie zamienia się w thriller. Satyra i groteska również w znacznej części przeważają w tej produkcji, co daje widzowi dosyć trudny i rozdarty ogląd sytuacji. Błąd popełniony przez Emerald Fennell na samym końcu zepsuł odbiór jej filmu, gdyż cała intryga została wyjawiona w zakończeniu, a motywacja każdego kroku podjętego przez głównego bohatera niemal łopatologicznie wytłumaczona.

Zdecydowanie najmocniejszym aspektem produkcji są zdjęcia autorstwa Linusa Sandgrena (laureat Oscara za najlepsze zdjęcia do filmu „La La Land”). Jednakże wiele osób zauważa podobieństwo do między innymi „Euforii”, przez wiążący się szczególnie z tym serialem charakterystyczny klimat i postać Jacoba Elordiego. Za to ujęcia pięknej posiadłości w pełni gorącego lata, z erotycznymi scenami, budzą ogromne skojarzenia z filmem „Tamte dni, tamte noce”, w którym jeden z głównych bohaterów również nosi imię Oliver.

Film wzbudza mieszane uczucia. Jest to film warty obejrzenia, jednak trzeba najpierw trochę zmienić nastawienie. Produkcja „Saltburn” wydaje się dziełem bardziej artystycznym niż stricte filmowo-fabularnym. Może Emerald Fennell zabrakło pokory i czystej głowy przy tworzeniu, ze względu na poprzedni oscarowy sukces. Wizualnie jest to przyjemna realizacja, natomiast scenariusz pozostawia nieco do życzenia i zauważyć można, że nie wszystko zostało do końca przemyślane tak, jak być powinno.

Benita DOLNIAK
bendol@st.amu.edu.pl

Czy balisaryjska Lara Croft przezwycięży kosmicznych nazistów?

Osobiście dostrzegam wyzwania stojące przed snyderowską wizją buntu balisaryjskiej Lary Croft przeciwko kosmicznym nazistom z macierzy. Nie jestem pewny, w jakim stopniu jest to możliwe, ale myślę, że fabuła może się sama obronić. Tym bardziej, że ubogacając ją klatki pełne fenomenalnych efektów wizualnych, choć czasem są zbyt nachalne. Podsumowując, jest to zdecydowanie dzieło dzielące widzów, które albo jest przyjmowane z ogromnym entuzjazmem, albo doszczętnie krytykowane. Jednak ma ogromne pokłady potencjału i zdecydowanie zachęca do odliczania dni do premiery drugiej części – „Zadająca rany”, która ma ukazać się już 19 kwietnia. Wtedy dopiero uzyskamy pełny obraz i będziemy mogli definitywnie stwierdzić, czy odświeżenie powszechnie znanych zabiegów kinematograficznych jest możliwe, a jeśli tak, to na ile jest ono skuteczne.

Bartłomiej KOLANO
barkol9@st.amu.edu.pl

motywująca, gdy uświadomi się, że można wygrać ciekawe i interesujące nagrody. W ten sposób gra staje się nie tylko zwykłą rozrywką, ale także sposobem na zdobycie czegoś materialnego.

Jeśli jednak ktoś nie odnajduje się w tematyce historycznej, to nic straconego. Miasto oferuje wiele innych okazji, gdzie można się sprawdzić. Przykładowo – w Poznaniu latem odbywa się Rodzinny Festiwal Gier Planszowych. Przeznaczony jest co prawda głównie dla rodzin z dziećmi, ale właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, by pojawił się tam każdy, nawet student ze znajomymi. Do wyboru są przeróżne gry, a rywalizacja wyniesiona jest także na wyższy poziom – nie odbywa się w domu, można zaprosić do niej różne osoby.

Jak więc widać, gry planszowe mogą znaleźć swoje miejsce na turniejach i sprawić, że bój o wygraną stanie się jeszcze bardziej zacięty.

Głosem koneserów

Wiele osób uznaje gry planszowe za najlepszy sposób spędzania czasu. „Myślę, że każdy, grając w gry czuje w sobie dreszczyk rywalizacji o wygraną, co sprawia, że gra staje się ciekawsza i śmieszniejsza” – powiedziała Zosia. Podobne zdanie wyraziła Ala – „Gry planszowe często prowadzą do kłótni, ale i tak fajnie jest w nie pograć. Lubię w nie grać szczególnie, gdy jest chwila wolnego czasu, np. w sylwestra z przyjaciółmi. Zalety są takie, że rozwijają i kształcą, uczą także przegrywać.” Również Mateusz wyraził podobne zdanie – „Planszówki w moim mniemaniu są dobrym sposobem na spędzenie weekendu, gdy za oknem jest niesprzyjająca pogoda. Są idealne do relaksu i wspólnego spędzenia czasu”. Zwrócił jednak uwagę na inny aspekt – „Plusem gier planszowych jest rywalizacja, może wydawać się to banalne, aczkolwiek podchodząc do gry celem każdego gracza jest wygrana. Wadą gier planszowych jest natomiast ich cena. Na rynku można zaobserwować, że nowe tytuły są już w niezbyt przystępnych cenach, co jest sporym wydatkiem”.

Jak więc można się przekonać, gry planszowe są znakomitą sposobem na rozrywkę. Świetnie spędza się z nimi czas wśród rodziny czy przyjaciół, jednakże można też wziąć udział w olimpiadach czy turniejach i zawalczyć o nagrody. Planszówki są więc świetną opcją spędzania czasu, a ponadto rozwijają nasze umie-

jętności na różnych płaszczyznach w zależności od wyboru gry. Pozostaje mieć nadzieję, że moda na nie za szybko nie przemienie.

Agnieszka ŁUKASZEWSKA
agnluk7@st.amu.edu.pl



Różnorodność gier planszowych sprawia, że oprócz domowego zacisza można grać w nie na turniejach

Jest źle, będzie jeszcze gorzej

Wyobraź sobie, że znajdujesz pudełko ciastek gdzieś na szczycie szafy. Musisz się nieźle natrudzić żeby po nie sięgnąć. Otwierasz ładnie zapakowaną zdobycę, a tam... przybory do szycia. Właśnie w ten sam sposób czują się kibice Lecha Poznań, patrząc wstecz na niedawno zakończoną rundę jesienną. Oczekiwali pozytywnych emocji, a dostali rozczarowanie. Nie bez powodu mierzyli w mistrzostwo, gdyż cała otoczka wokół drużyny wskazywała na walkę o najwyższe cele.

W sierpniu, świeżo po kompromitacji na Słowacji, pytałem kibiców pod Enea Stadionem o ich emocje dotyczące tego dwumeczu. Nie wydawali się bardzo przejęci. Co prawda ich ulubiona drużyna odpadła z europejskich pucharów w przedbiegach, na dodatek z niżej notowanym rywalem, ale w pamięci przy Bułgarskiej nadal pozostawała wymieniona, w wykonaniu poznaniaków, poprzednia edycja Ligi Konferencji. Europejskie apetyty na jakiś czas zostały zaspokojone, i to zadowolonym.

Wiele wskazywało na to, że Lech w Ekstraklasie będzie miał przewagę nad resztą stawki. Mieli potencjał na zdominowanie krajowego podwórka na wszystkich płaszczyznach. Mistrzostwo kraju było przymusem, a zwycięstwo w Pucharze Polski miłym dodatkiem. Rzeczywistość okazała się jednak brutalna. Lokomotywa ruszyła ospale i nim nabrała rozpędu, zdążyła się wykoleić. Nic nie wskazuje na to, żeby wróciła na właściwe tory. Niestety dla poznaniaków stacja „Mistrzostwo” oddala się zamiast przybliżać.

Pozorna zwyżka formy

Terminarz ułożył się dla Dumi Wielkopolski znakomicie. Po dwóch zwycięstwach nad Piastem i Radomiakiem oraz wyjazdowym remisie z Zagłębiem Kolejorz skorzystał z prawa do przelożenia meczu. W międzyczasie zaliczył ogromne potknięcie ze Spartakiem Trnava. Lech zajmował jednak pierwsze miejsce w Ekstraklasie, a przed sobą miał mecze z drużynami w przyszłowiowym dolku. Nikt nie spodziewał się jednak, że Śląsk Wrocław rozpocznie fenomenalną serię szesnastu meczów bez porażki właśnie z Lechem, a Górnik będący w strefie spadkowej wywiezie z Poznania jeden punkt. W następnych spotkaniach Kolejorz na swoim stadionie zdominował Wartę i Stal Mielec, na koniec deklansując Raków Częstochowa wynikiem cztery do jednego. Ki-



Kibice Lecha nadal mierzą w najwyższe cele

bice – pełni optymizmu przed wyjazdową potyczką z Pogonią – skandowali z trybun słowami: „w Szczecinie tylko trzy punkty”.

Portowcy mieli wówczas nietypową formę strzelecką. Przez cztery kolejki, od meczu z Radomiakiem, nie zdobyli żadnej bramki, aby w trzech kolejnych spotkaniach strzelić ich jedenastie. Jak się później okazało, poznaniacy pozwolili na powiększenie tego dorobku, tracąc w Szczecinie pięć bramek. „Powiedziałem piłkarzom, że to nie był nasz dzień” – tymi słowami trener John van den Brom skomentował występ swoich podopiecznych. Holender nie przewidział jednak, że takich dni z biegiem sezonu będzie coraz więcej.

Efekt kuli śnieżnej

Chyba tylko Lech Poznań jest w stanie zapewnić kibicom taki emocjonalny rollercoaster. W jednym tygodniu wysoko pokonali mistrza Polski oraz zaliczyli najwyższą od dwudziestu trzech lat ligową porażkę. Mecz z Pogonią był jednak ważny z innego powodu niż historyczny rekord, bowiem w krótkim czasie poznaniacy zostali skompromitowani nie tylko na europejskich salonach, ale też w rozgrywkach, które mieli zdominować.

Następne dwa spotkania nie przynosiły nadmiernej ekscytacji. Drużyny, takie jak Puszcza i ŁKS, czyli beniaminkowie ligi, nie stawały dotychczas oporu przed znacznie silniejszymi od siebie przeciwnikami. Prawdziwym sprawdzianem miał okazać się mecz z Jagiellonią Białystok.

Zespół Adriana Siemienia grał efektywną i zarazem efektywną piłkę, natomiast przy Bułgarskiej to Lech dyktował warunki. Po pierwszej

połowie Kolejorz schodził do szatni z zaliczką dwóch bramek, a druga część spotkania rozpoczął od podwyższenia prowadzenia na trzy do zera. I choć wydawało się, że mecz rozstrzygnięty jest już w pięćdziesiątej minucie, to ostatecznie Jagiellonia doprowadziła do remisu gola wyrównującego strzelając w doliczonym czasie gry.

Wówczas nastąpił efekt kuli śnieżnej, kolejne stracone punkty w pozornie łatwych do wygrania meczach. Tabela jest bezlitosna, a matematyka nie wybacza błędów. Od spotkania z Jagiellonią do rozpoczęcia przerwy zimowej, czyli dziewiętnastej kolejki, Lech wygrał tylko dwa na ośmiu meczów, zdobywając dziesięć z dwudziestu czterech możliwych punktów. Miażdżąca statystyka, biorąc pod uwagę przedsezonowe oczekiwania.

Równia pochyła

W rundzie jesiennej Lechici osiągnęli zwycięstwo tylko nad beniaminkami, zespołami z okolic strefy spadkowej i tymi z drugiej połowy tabeli. Uzyskali najwięcej remisów spośród drużyn realnie walczących o mistrzostwo. Trzeba jednak wspomnieć, że nie były to remisy bezbramkowe, tylko takie, w których Lech na własne życzenie tracił punkty. Negatywnych wniosków ciąg dalszy. Enea Stadion to już nie twierdza, tylko boisko, na którym zwyciężyć może nawet Widzew czy Piast. Pozytywne aspekty zespołu ograniczają się do indywidualnych popisów kluczowych zawodników. Kolejorz to już nie drużyna, która wspólnie stawia czoła przeciwnościom losu, tylko zbieranina piłkarzy mających własne kaprysy i fanaberie. Szansa skupienia się na rozgrywkach ligowych w momencie, gdy najwięksi przeciwnicy walczą w europejskich pucharach, została zaprzepaszczone. Ponadto obecne oczekiwania kibiców znacząco spadły. Przeciwny kibic Lecha na koniec sezonu zadowolony będzie z półfinału Pucharu Polski i przynajmniej ligowego podium.

Trener van den Brom został zwolniony 17 grudnia, można powiedzieć, że „nie był to jego dzień”. Mimo wszystko przy Bułgarskiej zostanie pozytywnie zapamiętany jako ten, który zapewnił owocną przygodę i ćwierćfinał Ligi Konferencji. Czy to zwolnienie potrzebne było już zimą? Zdecydowanie nie, jeśli nie ma się w zanadru zastępcy. Zarząd Lecha do ratowania sezonu wybrał Mariusza Rumaka – człowieka, który ostatni raz seniorską drużynę prowadził cztery lata temu w pierwszej lidze. Co prawda od tego czasu dużo pracował z młodzieżą, ale teraz został wkomponowany w zespół z reprezentantami krajów, piłkarzami o aroganckim charakterach, wycenianymi na miliony euro. Runda wiosenna przed Lechem Poznań to duże wyzwanie, a wszystko wskazuje na to, że oczekiwania kibiców ponownie będą musiały się obniżyć.

Filip SZYMKOWIAK
filisy10@st.amu.edu.pl

Czy ktoś zdetronizuje liderów?

2024 rok oprócz Wielkich Szlemów przyniesie również zmagania w Igrzyskach Olimpijskich. Iga Świątek będzie starała się pozostać na czele rankingu kobiet, a Novak Djoković zdobyć kolejne wielkoszlemowe tytuły. Ponadto do rywalizacji wróciło kilka głośnych nazwisk.

Iga Świątek skończyła drugi rok z rzędu jako numer 1 na świecie. W 2024 znowu będzie faworytką do wygrywania najważniejszych turniejów. Ten rok jest szczególnie, ponieważ odbędą się Igrzyska Olimpijskie w Paryżu. Zawodniczki i zawodnicy będą rywalizować na kortach Rolanda Garrosa. To właśnie na tych kortach Świątek wygrała swój pierwszy tytuł wielkoszlemowy, a potem powtórzyła ten sukces jeszcze dwukrotnie. Polka wielokrotnie udowadniała, że na nawierzchni ziemnej nie ma sobie równych, więc kibice mają nadzieję na olimpijski medal. Na poprzednich igrzyskach Świątek przegrała w drugiej rundzie z Paulą Badosą, co bardzo przeżyła. Z pewnością w stolicy Francji będzie chciała zaprezentować się znacznie lepiej. 22-latką bardzo dobrze zaczęła sezon, odnosząc komplet zwycięstw w United Cup. Podopieczna trenera Tomasza Wiktorowskiego ma tym samym 16 wygranych meczów z rzędu. Jej głównymi rywalkami w tym roku będą prawdopodobnie nadal Aryna Sabalenka, Elena Rybakina oraz Coco Gauff. Kazaszka i Amerykanka mają już nawet pierwsze zdobyte tytuły. Rybakina pokonała Sabalenkę w finale turnieju w Brisbane, a Gauff triumfowała w Auckland. Poza tym dla Magdy Linette 2023 rok był najbardziej udanym w karierze. Poznanianka dotarła do półfinału Australian Open i zakończyła rok na 24. miejscu w rankingu WTA. Magda Fręch również miała najlepszy sezon w karierze, kończąc go na 63. lokacie.

Polskie nadzieje

Całkiem udany początek roku ma również Hubert Hurkacz*. Dziewiąty zawodnik rankingu ATP w United Cup odniósł trzy zwycięstwa i dwie porażki, w tym jedną po trzygodzinnym spotkaniu z Alexandrem Zverevem, w którym wrocławianin miał dwie piłki meczowe. 26-latek

wielokrotnie udowodnił, że może rywalizować z najlepszymi, a wysoki ranking pozwoli na rozstawienie w turniejach i potencjalnie łatwiejsze drabinki. W poprzednim roku Hurkacz był zawodnikiem z największą liczbą asów serwisowych. Po pięciu meczach tego sezonu Polak ma już 63 asy. Warto odnotować, że Świątek i Hurkacz grali również w trzech meczach w mikście. W fazie grupowej pokonali Brazylijczyków i Hiszpanów, a w tym drugim meczu wygrali nie tracąc żadnego gema (6:0, 6:0). Natomiast w finale po wyrównanym meczu musieli uznać wyższość niemieckiej pary Siegemund/Zverev. Pomimo tej porażki, występy naszych najlepszych tenisistów mogą napawać optymizmem i pozwalają mieć nadzieję w kontekście ich występu w mikście na igrzyskach olimpijskich. Co do rywalizacji wśród mężczyzn w tym sezonie – Hurkacz będzie miał bardzo trudne zadanie. W poprzednim roku czwórka zawodników: Novak Djoković, Carlos Alcaraz, Daniil Miedwiediew oraz Jannik Sinner zdominowała tour. „Djoko” dołożył do swojej bogatej kolekcji kolejne trzy tytuły wielkoszlemowe i zwycięstwo w Nitto ATP Finals. W Wimbledonie triumfował Alcaraz. Miedwiediew wygrał pięć turniejów i był w finale US Open, a Sinner był najlepszy w czterech turniejach i doszedł do finału ATP Finals w Turynie. Do tego mocni są Andriej Rublow oraz Holger Rune. A propos innych polskich zawodników – do rywalizacji w tourze wrócił Kamil Majchrzak, a 20-letni Maks Kaśnikowski na początku roku po raz pierwszy w karierze wygrał turniej rangi Challenger.

Powrót wielkoszlemowych mistrzów

Nowy rok oznacza nowe nadzieje, nowe odkrycia, ale też powroty po kontuzjach czy urlopach macierzyńskich. Wśród mężczyzn najbardziej wyczekiwany był powrót Rafaela Nadala. 22-krotny zdobywca tytułów wielkoszlemowych poprzedni sezon zakończył bardzo szybko, przegranym spotkaniem z Mackenzim McDonalдем. Był to mecz drugiej rundy Australian Open. Następnie leczył kontuzję uda. Przed turniejem Rolanda Garrosa Hiszpan ogłosił na konferencji, że nie będzie w stanie grać przez kilka kolejnych miesięcy. W tym roku Nadal wrócił do rywalizacji na turnieju w Brisbane, gdzie pokonał Dominica Thiema oraz Jasona Kublera. W ćwierćfinale musiał uznać wyższość

Jordana Thompsona po prawie trzy i pół godzinnym spotkaniu i trzech niewykorzystanych piłkach meczowych. Potem w swoich mediach społecznościowych ogłosił, że nie będzie w stanie zagrać w Australian Open z powodu urazu uda. Na szczęście tym razem kontuzja nie wydaje się poważna. Nadal przyznał, że jego celem jest granie na swoim najwyższym poziomie w ciągu trzech miesięcy. Co warto podkreślić, prawdopodobnie jest to ostatni sezon w karierze 37-latką z Majoriki.

Natomiast wśród kobiet do gry powróciła Naomi Osaka, której ostatni mecz odbył się we wrześniu 2022 roku. 4-krotna zwyciężczyni turniejów wielkoszlemowych w lipcu ubiegłego roku została mamą – urodziła córkę Shai. Japonka, podobnie jak Nadal, też grała w Brisbane, gdzie w pierwszej rundzie pokonała Tamarę Korpatsch 2:0. W drugiej, była liderką rankingu musiała uznać wyższość Karoliny Pliskovej, ale był to zacięty mecz. Po urlopie macierzyńskim wróciła również Angelique Kerber. Niemka mająca polskie obywatelstwo urodziła córkę Lianę w lutym 2023 roku. Trzykrotna triumfatorka imprez wielkoszlemowych wraz z innymi członkami reprezentacji Niemiec grała w turnieju United Cup. W fazie grupowej Kerber przegrała z Jasmine Paolini oraz Caroline Garcia, a w ćwierćfinale za silna okazała się Maria Sakkari. Jedyne zwycięstwo była liderką rankingu zanotowała po dramatycznym meczu i dwóch obronionych piłkach meczowych z powracającą po kontuzji Ajlą Tomljanović. W finale szans nie dała jej Iga Świątek, która wygrała 6:3, 6:0. Mimo tego „Angie” może być zadowolona, ponieważ rozegrała kilka spotkań z dobrymi rywalkami, a Niemcy ostatecznie triumfowali w United Cup. Warty zanotowania powrót do gry zaliczyła także Emma Raducanu. Z powodu kontuzji Brytyjka zakończyła sezon w kwietniu. Po ośmiomiesięcznej przerwie, spowodowanej operacjami obu nadgarstków i kostki, mistrzyni US Open 2021 wyszła na kort 2 stycznia, kiedy w Auckland pokonała Elenę Ruse. W drugiej rundzie 21-latką nie dała rady wygrać z Eliną Svitoliną, ale to nie było łatwe spotkanie dla Ukrainki.

W pierwszych turniejach nie brakowało znakomitych, emocjonujących spotkań czy widowiskowych wymian. Sezon zapowiada się więc pod wieloma względami pasjonująco, a my możemy liczyć na kolejne sukcesy polskich zawodników.

*Tekst oddany do druku 8 stycznia.

Kamil KWIATKOWSKI
kamkwi3@st.amu.edu.pl